

# Trudna droga do Seana O'Casey

**Sean O'Casey: Czerwone róże dla mnie.** („Red roses for me”). Przekład: Cecylia Wojewoda. Przekład piosenek i hymnów: Włodzimierz Lewik. Reżyseria: Aleksander Bardini. Scenografia: Ewa Starowicyńska. Muzyka: Tadeusz Baird. Prapremiera polska na scenie Teatru Dramatycznego m. st. Warszawy.

Sean O'Casey uchodzi dziś zdaniem wielu za najwybitniejszego obok Brechta dramaturga XX wieku. W każdym razie za najwybitniejszego z żyjących dramaturgów-komunistów. Nie miał dotąd u nas szczęścia. Przedstawienia jego sztuk były nieudane i nie dawały wyobrażenia o walorach tej głębokiej i pięknej dramaturgii, którą tak wysoko cenią nie tylko rodacy autora, Irlandczycy.

O'Casey jest pisarzem ideowym zaangażowanym, jest komunistą nie tylko z przekonań, ale i z praktyki literackiej. Dlaczego więc tak trudno go dobrze zagrać? Czyżby postacie jego sztuk były tak trudno zrozumiałe dla polskiej publiczności? Wydaje mi się, że jest wręcz przeciwnie. Są one bardzo nam bliskie, ich problemy są całkowicie zrozumiałe dla społeczeństwa, które zetknęło się boleśnie zarówno z klerykalizmem, jak z walką o wolność narodu, wreszcie z walką o wyzwolenie społeczne, z nacjonalizmem, patriotyzmem i internacjonalizmem. W sztukach Seana O'Casey spotykamy co chwila problemy tak bardzo nam znane i znajome, że wykrzyknąć prawie chciałoby się: to przecież mogłoby się rozgrywać w Polsce. Ci ludzie są dla nas tak zrozumiałli, że nieledwie moglibyśmy ich spotkać na jednej z ulic naszych miast. Mają poczucie humoru, nie lubią się prze-

męczać, za to mają ogromną skłonność do pogaduszek przy kieliszku, a jak sobie podpiją — pragną uchodzić za bohaterów i bardzo głośno śpiewają. Więc dlaczego, u licha, teatr nasz nie umie ich pokazać, dlaczego wciąż jeszcze szukamy klucza do sztuki Seana O'Casey?

Sprawa nie jest tak prosta, jakby się to na pozór mogło wydawać. Problemy są podobne, to prawda. Ludzie mają też wiele cech wspólnych z Polakami. Ale właśnie na tle tych podobieństw tym trudniej uchwycić różnice, a nade wszystko oddać ów niepowtarzalny klimat i koloryt, który stanowi o uroku sztuk Seana O'Casey, o ich prawdziwości, autentyczności. Jest więc jego niepowtarzalny język, dziwny konglomerat mowy potocznej, prawie wulgarniej i najciszejszej poezji, pełen słów gwarowych, prawie nieprzetłumaczalnych, rozkwitających nagle cudowną, poetycką metaforą. I jest ów przedziwny stop realizmu i wizji, precyzyjnej obserwacji życia i ludzi, zmieszanej z liryką i marzeniem: Sean O'Casey stąpa mocno nogami po ziemi widzi problematykę społeczną, walki klasowe, rewolucyjną klasę robotniczą i jej strajki. Ale jego głowa tkwi w chmurach, pełna jest marzeń o lepszej przyszłości. Taki „realny romantyzm”, „realne marzenia”, składają się na program artystyczny pisarza-komunisty, który dostrzega perspektywę przyszłości. I taki właśnie jest O'Casey. Nie wolno pozbawiać inscenizacji jego sztuk żadnej z tych cech. Ich przedstawienia muszą być realistyczne, ich prawda musi bić w oczy. A jednocześnie muszą być poety-

ckie, rozmarzone, pełne sily i liryki zarazem. Był w Polsce tylko jeden poeta, który idealnie odpowiadał poetyce Seana O'Casey: Konstanty Ildefons Gałczyński. W jego wierszach była także obserwacja życia, zaprawiona humorem i owiana liryką. I tak jest także u Seana O'Casey. Poezja wyraża u niego z obiektywnie istniejącego świata. Zwyczajnym ludziom wyrastają nagle skrzydła, zwyczajne przedmioty, krzesła, stoły, meble, nabierają nagle innych wymiarów, a wszystko to dzieje się w wyobraźni pisarza i w wyobraźni widzów. Narzucić im tę wizję za pomocą najprostszych środków, bez żadnych sztuczek, świateł, nastroików — oto najtrudniejsze zadanie reżysera i aktorów, pracujących nad sztukami Seana O'Casey.

Czy udało się to Aleksandrowi Bardiniemu? Tylko w części. Doceniam w pełni wysiłek Teatru Dramatycznego, który pierwszy nie tylko sięgnął po najważniejszą może sztukę O'Casey, ale dał pierwsze poważne przedstawienie jego sztuki w Polsce. Ale właśnie dlatego spektakl zachęca do dyskusji. Wydaje mi się, że za wiele w nim poetyczności, że za wiele stylizacji i pozy, że za mało prostoty, prawdy życia, z której wyrasta prawdziwa poezja. Za mało sily, za mało walki, za wiele smętku i nastrojowości. Uwagi te dotyczą przede wszystkim drugiej części spektaklu, gdyż pierwsza część jest bezspornie lepsza. Ale druga część jest właśnie w tej sztuce najważniejsza, to ona decyduje o ideowej wymowie przedstawienia. „Czerwone róże dla mnie” to tragedia. Ale są tragedie socjalistyczne. Bohater sztuki — Ayamonn Brey-

don, sobowtór i porteparole, autora, jest bojownikiem, który ginie po to, aby zwyciężył ruch robotniczy. Stąd czerwone róże na jego trumnie. A tymczasem w drugiej części przedstawienia nie czujemy walki, nie czujemy naporu, ani burzy. Jest w nim tylko zmęczenie, nędza, załamanie tych wszystkich, którzy opiakują śmierć Ayamonna. „Czerwone róże dla mnie” są sztuką autobiograficzną. Pamiętajmy więc, że postawa rezygnacji i kapitulacji była zawsze obca Seanowi O'Casey. Przekroczył on już osiemdziesiątkę, ale nie przestał po dziś dzień być pilszarem walczącym. I dlatego nie trzeba tak interpretować jego programowej sztuki. Za słabe jest tempo przedstawienia, za mało w nim humoru, tak specyficznego dla twórczości Seana O'Casey, za mało typowego irlandzkiego temperamentu i irlandzkiej żywiołowości. Widziałem niedawno w Paryżu przedstawienie „Junony i pawia”. Jednej z najlepszych sztuk Seana O'Casey, w wykonaniu Abbey Theatre z Dublina, który uchodzi za najlepszego interpretatora sztuk tego pisarza. I wówczas zrozumiałem bardzo wiele z trudnych problemów jego dramaturgii. W przedstawieniach jego sztuk musi tętnić żywa krew irlandzkiego ludu, a polski inscenizator musi szukać w naszych tradycjach teatralnych odpowiednich wzorów. Może w inscenizacjach Schillera? Może w jego „Kramie z piosenkami”? Może w „Królowej przedmieścia”? W każdym razie nie wolno grać sztuk Seana O'Casey, jakby napisał je Eliot. Bliżej im do widowisk ludowych, niż do socjalistycznych misterii.

Muszę przyznać, że najwięcej uchwyciła ze stylu O'Casey scenografia EWY STAROWIEYSKIEJ i niektórzy aktorzy. Dekoracje były konkretne, a przecież osnute leciutką mgiełką poezji. Stare rudery Dublina i most były prawdziwe, a przecież przeniesione już jakby w inny wymiar. To bardzo piękna scenografia, podobnie wygląda jak bardzo dobre kostiumy.

Spośród aktorów wymienić należy przede wszystkim JOZEFA DURIASZA i JANĄ SWIDERSKIEGO. Duriasz zagrał żarliwie postać bohatera sztuki. Wierzyło się w jego talent i zapal, głęboką uczciwość i bezkompromisowość. To był prawdziwy bohater nowej, socjalistycznej sztuki. Swiderski wcielił w rolę starego Brennana postać zupełnie nową w swej praktyce scenicznej. Był charakterystyczny, dowcipny, prawie komediowy, chwilałmi tragicomiczny. Kiedy wszedł na scenę trudno go było poznać, a przecież wiadomo, że należy do aktorów, którzy niewiele się zmieniają w poszczególnych rolach, grając raczej swym wnętrzem, niż walorami zewnętrznymi, czy charakterystyką. To świetna rola tego wybitnego aktora.

Ale nie tylko on zasługuje na uznanie w tym dziwnym spektaklu. Jest WANDA ŁUCZYCKA, niezwykle bliska postaci Seana O'Casey. Chciałbym ją kiedyś zobaczyć w roli Junony. Gra ostro, dowcipnie, traktuje postać prawie groteskowo, a jednak ani przez chwilę nie przestaje być prawdziwym człowiekiem. A u Seana O'Casey szalenie trudno nie przekroczyć tej cieniutkiej granicy. O krok za daleko w jedną stronę — a już grozi płaski, wulgarny naturalizm. O krok za daleko w drugą — a już odrzucamy się od rzeczywistości i tracimy grunt pod nogami. Jałowa abstrakcyjna poetyczność pozbawia nas przyjemności obcowania z konkretem życia. Bardzo dobra była też EWA WAWRZON w roli narzeczonej nieszczęsnego Ayamonna, Żywa, prawdziwa, ludzka. Doskonale dobrana fizycznie do swojej roli, pięknie wyglądająca jako partnerka młodego poety.

Z długiej galerii aktorów uczestniczących w spektaklu wymienić należy jeszcze JANUSZĄ PALUSZKIEWICZĄ, ALEKSANDRĄ DZWONKOWSKIEGO, EDMUNDĄ FETTINGĄ, LECHOSŁAWĄ HERZĄ, CZESŁAWĄ KALINOWSKIEGO, JOZEFĄ PARĘ, ludzkich, żywych, prawdziwych. Natomiast trudno zgodzić się z ujęciem roli przez RYSZARDEK HANIN, która gra raczej Niobe, niż matkę młodego robotnika. Nie wydaje mi się także, by trafila w ton Seana O'Casey BARBARA KLIMKIEWICZ, która przywędrowała do tej sztuki raczej z romantycznej literatury, niż z ludowego widowiska.

Droga do prawdziwego Seana O'Casey została przetarta. Teraz trzeba podnieść poprzeczkę wymagań. Albowiem na prawdziwe przedstawienie autora „Plugu i gwiazd” wciąż jeszcze czekamy. Kto się odważy następny?

ROMAN SZYDŁOWSKI